

Mirosław Hermaszewski

ciężar nieważkości
opowieść pilota-kosmonauty

universitas



ciężar nieważkości

Mirosław Hermaszewski

ciężar nieważkości
opowieść pilota-kosmonauty

KRAKÓW

© Copyright by Mirosław Hermaszewski and Towarzystwo Autorów
i Wydawców Prac Naukowych UNIVERSITAS, Kraków 2017, 2019,
wydanie III, poprawione i uzupełnione

ISBN 97883-242-3119-5
e-ISBN 97883-242-3248-2
TAJWPN UNIVERSITAS

Opracowanie redakcyjne wydania pierwszego
Edyta Podolska-Frej

Opracowanie redakcyjne niniejszego wydania
Katarzyna Kościuszko-Dobosz

Projekt okładki i stron tytułowych
Sepielak

Na okładce wykorzystano zdjęcia pochodzące z archiwum Autora

RYSUNKI W TEKŚCIE WYKONAŁ AUTOR

www.universitas.com.pl

Cel jest wielki, kiedy mu się poświęcasz.
Lecz cel staje się niski, kiedy robisz sobie
z niego tytuł do chwały.

Antoine de Saint-Exupéry

*Mojej Rodzinie,
a w szczególności żonie, dzieciom
i wnuczkom poświęcam*

SŁOWO WSTĘPNE

Napisałem tę książkę z wielu powodów, a przede wszystkim po to, aby przypomnieć wydarzenia z czerwca 1978 roku, o których mówiła Polska i które zauważył cały świat. Co prawda wielu uczyniło to przede mną. Prześcigano się w gloryfikowaniu tego niezwykłego wydarzenia. Jednak autorzy publikacji nie zajrzeli głębiej do mojego życiorysu, nie usiłowali dotrzeć do mych przeżyć i uczuć. Zresztą było to zbędne. Kiedy zmagalem się z nieważkością, wówczas w iście kosmicznym tempie drukowano broszury, książki i znaczki pocztowe, bito medale i monety, pisano wiersze, komponowano piosenki i hymny oraz kręcono filmy. Zawczasu wykreowano sylwetkę kosmonauty. Miał być człowiekiem bez skazy, bez słabości – supermanem, który szedł przez życie prosto, bez przeszkód, do obranego celu. Ewentualne trudności miażdżyło opiekuńcze Państwo. Coś w tym jednak było, bo gdyby Państwo nie stworzyło możliwości rozwijania talentów, czyli finansowania, to pewnie pozostałbym w małym miasteczku, pracując jako referent, może maszynista, bo parowozy zawsze mi imponowały.

Wielu sądziło, że kosmonauta jest dzieckiem szczęścia – herosem, któremu obce są trudności i niepowodzenia. Nic bardziej błędnego. Nasze życie nie jest „zaprogramowane”. Od nas zależy, jak pokierujemy swoim losem i czy dostatecznie dużo wysiłku włożymy, by osiągnąć kolejne wytyczane cele. Moje doświadczenie nauczyło mnie, że nawet najtrudniejsze chwile nigdy nie powinny być powodem do zwątpienia, a zwycięstwo nad nimi uczyni nas silniejszymi.

W książce zamierzałem pokazać, jak ciężką drogę przeszło moje powojenne pokolenie. Od małej wioski do dużego świata. Moja droga do wymarzonego zawodu pilota była pełna niebezpiecznych wiraży. Początkowe niepowodzenia wkrótce zmieniły się w pasję pokonywania trudności i samodoskonalenia się. Wyraźnie określony cel życia i wytrwałość dały pierwsze efekty. Zaznałem smaku unoszenia się

w powietrzu. Z czasem latanie stało się treścią mojego życia, zawodem i służbą Ojczyźnie. Chłopięce marzenia ziściły się. Osiągnąłem nawet więcej – byłem ponad marzeniami.

Mam nadzieję, że w opisie mych niezwyklej doświadczeń znajdą Państwo odpowiedź przynajmniej na niektóre nurtujące Was pytania. Dlaczego mimo ogromnego ryzyka ludzie latają w Kosmos? Jakim tam ulegają uczuciom? Jak przeżywają nieważkość? Jak żyją i pracują? Jakie my, ludzie planety Ziemia, mamy zamiary, oczekiwania i nadzieje w procesie poznawania i wykorzystywania przestrzeni kosmicznej?

Cieszyłbym się bardzo, gdyby treścią tej książki udało mi się zainspirować młodych czytelników do śmielszego patrzenia w swoją przyszłość. Żyjemy w czasach pokoju, we względny dostatku i w okresie niespotykanego wcześniej rozwoju cywilizacyjnego, a postępu nie da się zahamować. W tym procesie trzeba uczestniczyć, jest w nim miejsce dla każdego. A więc młodzi, dziewczęta i chłopcy – nie zmarnujcie swojej szansy.

Oczywiście to, co osiągnąłem, nie jest li tylko moją zasługą. W tym miejscu z najwyższym szacunkiem przywołuję postać mojej Mamy – kobiety niezwyklej pod każdym względem. Próżno dziś szukać podobnego wzorca. Jestem wdzięczny Mamie za wszystko, czego doznałem w życiu, za troskę, miłość matczyną, wpojone wartości patriotyczne, wychowanie w wierze i za to, że zawsze będziemy z Niej dumni. Słowa wdzięczności kieruję do mojego rodzeństwa, sióstr i braci, za troskę, opiekę, cudowne dzieciństwo i wsparcie, kiedy dorastałem.

Nie zostałbym kosmonautą bez pomocy tych, którzy uwierzyli we mnie, obdarzyli zaufaniem. To moi nauczyciele, lekarze, piloci Aeroklubu Wrocławskiego i Szkoły Orląt, instruktorzy lotniczy i przełożeni z pułków, w których służyłem, specjaliści techniki kosmicznej i cała plejada kosmonautów rosyjskich, z którymi pozostaję w serdecznej przyjaźni.

Wyrazy szacunku i słowa podziękują kieruję do mych byłych przełożonych i podwładnych, do kolegów pilotów – za cenne wsparcie, którego doznałem podczas wspólnej lotniczej służby i które towarzyszyło mi w kosmicznej misji. To w ich imieniu przeżywałem wyjątkowe doświadczenie bratania się z wielką przestrzenią.

Przede wszystkim najpiękniej dziękuję mojej żonie Emilii za to, że zgodziła się dzielić ze mną trudy życia, za miłość, przyjaźń i nieocenione rady i wsparcie. Stając na ślubnym kobiercu, nie przypuszczała, ile

SŁOWO WSTĘPNE

przed nią trosk, nieprzespanych nocy i łez wylanych, kiedy ja gdzieś daleko i wysoko oddawałem się mojej życiowej pasji – lotnictwu.

*

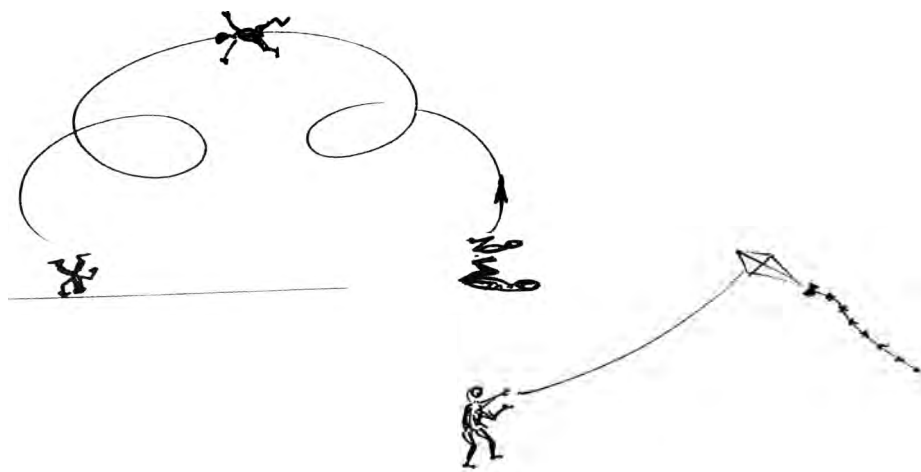
Pragnę podziękować Panom: Ireneuszowi Sobieszczukowi, Leszkowi Wróblewskiemu, Tadeuszowi Zagożdzińskiemu za udostępnienie swoich autorskich zdjęć do publikacji. Materiał fotograficzny pochodzi także z zasobów WAF, CAF, KAW, archiwum Centrum Szkolenia Kosmonautów i moich własnych zbiorów.

Dziękuję Pani Edycie Podolskiej-Frej za cenne uwagi przy opracowaniu ostatecznego wizerunku książki, a Pani Katarzynie Kościuszk-Dobosz za powołanie do życia tego (kolejnego) wydania moich wspomnień, Muzeum Lotnictwa w Krakowie i firmie Active.pl za pomoc w opracowaniu materiałów fotograficznych.

Szczególnie dziękuję wydawnictwu Universitas za przygotowanie do druku kolejnego wydania mojej publikacji.

CZĘŚĆ PIERWSZA

jeszcze nie lata,
a już bombarduje



PIERWSZY START I PIERWSZE LĄDOWANIE

Był rok 1948. Wakacje. Po ukończeniu przedszkola sposobiłem się do pierwszej klasy. Mój starszy o trzy lata brat Bogusław ze swoimi kolegami większość wolnego czasu spędzał na podwoławskich łąkach. Jako najmłodszy z rodzeństwa bardzo chciałem uczestniczyć w ich zabawach. Pewnego dnia, pewnie troszkę z nudy, zainteresowali się mną. Wpadli na pomysł, aby mnie, mizernego chłopaczka, wysłać na Księżyc. Oblaskawiali mnie obietnicami wspólnych wycieczek po okolicy. Jak chcieli tego dokonać? Kładli się na plecach, a mnie zmuszali do zajęcia pozycji na ich podkurczonych nogach, skąd siłą swych mięśni wypychali mnie w górę. Płacząc, godziłem się być pociskiem. Po „starcie” świat wirował, lot był krótki, a lądowanie twarde.

W czasie trzeciego lądowania usłyszałem stłumiony trzask i poczułem przeszywający ból w lewym ramieniu. Ręka zwisała bezwładnie i stała się jakby krótsza. Prosiłem o pomoc. Obejrzałem się, ale byłem sam na łące. Kiedy obolały, z płaczem ledwie dowlokłem się do domu, tam czekała już moja „ekipa startowa”. Głośno mi współczuli, a jednocześnie za plecami mamy pokazywali mi zaciśnięte pięści wymierzone w podbródek – mimo bólu rozumiałem znaczenie tych gestów. Znajomy felczer usiłował nastawić rękę, w czasie tych prób zemdląłem.

Tym wydarzeniom zawdzięczam moją pierwszą podróż samochodem, którą odbyłem z mamą i ojcem mojego kolegi Zbyszka, panem Koszykiem. Jechaliśmy z Wołowa do szpitala we Wrocławiu. Po drodze mijaliśmy spalone wsie, rozbite czołgi i samoloty, porzucone samochody i okaleczone drzewa. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem ogromne miasto. Ulice wyglądały niczym tunele, wszędzie leżał gruz. Trafiłem do szpitala na Grabiszyńskiej, leżałem w sali wspólnie z rannymi żołnierzami, niektórzy z nich byli kalekami. Nie rozumiałem poleceń pielęgniarek, które mówiły w niezrozumiałym dla mnie języku. Na

nic zdały się ich uśmiechy. Bałem się, gdy prowadzono mnie na salę operacyjną. Znalazłem się wśród obcych, byli dziwnie ubrani i mieli zasłonięte twarze. Byłem przerażony. Wtedy lekarz pogłaskał mnie po głowie i rzekł: „Mama zaraz wróci, będziesz zdrow, oddychaj głęboko”. Pielęgniarka położyła mi na twarz tampon z gazy, poczułem dziwny ostry zapach. W oczach pojawiły się drgające czarno-białe prążki. Doznałem wrażenia, że unoszę się do góry. Głosy ucichły, zapadłem w nicość. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem mamę, głaskała moją głowę i uśmiechała się. Było mi niedobrze. Wkrótce usnąłem ponownie.

Wróciłem do domu z oryginalnym ryszunkiem. Żołnierz, który leżał w szpitalu na sąsiednim łóżku, wymalował mi na gipsie czołg. Ależ byłem dumny!

Kilka tygodni później wraz z mamą ponownie byliśmy w drodze do szpitala we Wrocławiu. Tym razem w towarzystwie znajomego jeszcze z Wołnia, pana Dzieciatkowskiego, jechaliśmy pociągiem. Bałem się wizyty w szpitalu i zdejmowania gipsu, ręka mnie bardzo swędziała, więc by sobie ulżyć, popłakiwałem troszkę. Nasz znajomy próbował mnie przekonać, że jako posiadacz takiego malunku na gipsie powinienem być dzielny. Obiecał mi także, że kupi mi tort, jak tylko przestanę płakać. Nie dawałem się zwieść, uspokoiłem się dopiero wtedy, kiedy obiecał mi dodatkowo paczkę kapiszonów do strzelania.

Nasz pociąg zatrzymał się przed Wrocławiem na stacji Kuźniki. Za oknem roztaczał się ponury widok: potężny zniszczony bunkier, przy torach posiekany przez pociski budynek nastawni, widoczne leje po bombach, poskręcane tory, powywracane i spalone parowozy i wagony, a w oddali szkielety spalonych domów i strzelające w niebo przęsło zwałonego wiaduktu. Parowóz sapał, prychał parą, pachniało węglem i oliwą. Do przedziału wszedł mężczyzna bez nogi i o kulach, w zniszczonym mundurze, ale z błyszczącym orzelkiem na rogatywce. Śpiewał o wojnie, poległych żołnierzach, matce i Polsce. Wzruszyłem się i oddałem mu pieniądze, które dostałem od mamy na wymarzoną bułkę z kielbasą z dworcowego bufetu. Takie sytuacje: żołnierz-kaleka, jego rzewny śpiew, moje łzy i przekazanie kieszonkowego, powtarzały się jeszcze wiele razy.

Lokomotywa miarowo posapywała. Przejeżdżaliśmy koło lotniska. Z zamyślenia wyträcił mnie dźwięk przypominający klekotanie bociana. Przez okno zobaczyłem zniżający lot dwupłatowy zielono-niebieski samolot. Jeden z pasażerów skomentował: „Opuszczył się na ziemię” –

co znaczyło: wylądował. „To Kukuruźnik” – dodał ktoś ze znawstwem. „Kukuruźnik” tymczasem dotknął kółkami ziemi, parę razy podskoczył, ucichł, zakolysał się na boki i zaklekotał ponownie, obrócił się do nas bokiem i jakby dumny z tego, co zrobił, z zadartym nosem podążył przed siebie, aż zniknął za rozbitym bunkrem. Byłem urzeczony.

We wrześniu, już z wyleczoną ręką, rozpocząłem naukę w szkole. Na jednej z pierwszych lekcji nasza wychowawczyni, pani Winniczuk, narysowała na tablicy coś, co miało przypominać samolot. Chciałem koniecznie opowiedzieć o prawdziwym samolocie, niepodobnym do tego z tablicy, który widziałem w czasie podróży do Wrocławia. Zanim zdążyłem się odezwać, siedzący obok mnie Henio Bielewicz dał mi porządnego kuksańca. Kiedy jednak nauczycielka zapytała, kto chciałby zostać lotnikiem, poderwałem się do odpowiedzi tak energicznie, że zawartość kałamarza wylała się na bluzę i spodnie Henia. Na reakcję z jego strony nie trzeba było długo czekać, dostałem kolejnego kuksańca. Błyskawicznie się odwzajemniłem i palnąłem go w ogoloną głowę. Nauczycielka skomentowała całe zajście następująco: „Jeszcze nie lata, a już bombarduje”. Klasa zachichotała. Tak rozpoczęła się moja lotnicza przygoda: od lądowania, bowiem obydwaj wylądowaliśmy w kącie.



Dziadek Sylwester Hermaszewski i babcia Maria z Hutnickich. Lipniki na Wołyniu, lata 30. XX wieku. Z archiwum Autora.



Rodzice: Roman Hermaszewski i Kamila z Bielawskich, 1925. Z archiwum Autora.



Tata – Roman Hermaszewski, podczas służby wojskowej w 44. pułku piechoty kresowej, Łuck 1921. W 1943 roku został zamordowany przez Ukraińców. Z archiwum Autora.



Moja przyszła żona Emilka z rodzicami: Jadwigą i Stanisławem Łazar. Jej warkocze zauważyłem, gdy miała 14 lat. Wołów 1951. Z archiwum Autora.



Ocaleni z wojennej pożogi. Wołów 1948. Od lewej: Alina, Władysław (podchorąży OSL), Teresa, Sabina, Mama Kamila, Anna, Bogusław i ten najmniejszy – Autor. Z archiwum Autora.



...30 lat później. Od lewej: Alina, Władysław (generał bryg. pil.), Mama Kamila, Mirosław (ppłk pil.), Teresa, Sabina, Anna, Bogusław (kapitan). Z archiwum Autora.



U stryjenki Michaliny w Kunowie koło Sobótki, 1947. Po lewej stronie moja siostra Sabina. Z archiwum Autora.



Moja ukochana czereśnia. Z archiwum Autora.



Z bratem Bogusławem. Z archiwum Autora.



Z siostrą Teresą, kreślę oczywiście plany modelu samolotu. Z archiwum Autora.



Brat Władysław – pilot myśliwca Jak-9. Marzyłem, by móc przytulić się do śmigła.
Z archiwum Autora.



Dla mnie Władysław był niedoścignionym wzorem, a dla podwładnych absolutnym autorytetem. Z archiwum Autora.



Nasza Mama Kamila wkracza w 92. rok życia, okolice Wrocławia, 1996. Fot. Andrzej Parkitny.



Rodzeństwo w komplecie, ale już bez Mamy. Od lewej: Bogusław, Mirosław, Alina, Władysław, Teresa, Sabina i Anna, Wołów 1997. Z archiwum Autora.

LOS I PRZEZNACZENIE

Moi przodkowie pochodzili z Kongresówki. Niestety nie znam imienia mojego prapradziadka Hermaszewskiego. Jego „dobroć” to pięcioro dzieci: Wincenty, Jakub, Sabina, Dorota i Katarzyna. Wincenty, najstarszy z rodzeństwa (1808–1880), za udział w powstaniu został skazany i zesłany na Syberię. Po powrocie z zesłania osiedlił się w Małyńsku, później w Krzeszowie i wreszcie w Zurnem na południe od Sarn na Wołyniu. Wincenty ożenił się z młodą Wilhelminą Lisiecką, jak mówią rodzinne przekazy, bardzo zdolną w wyrabianiu kilimów i tkanin wełnianych. Z tego małżeństwa przyszło na świat dziewięcioro potomstwa: Sylwester – mój dziadek, Piotr, Jan, Łukasz, Józef, Aniela, Saleza, Lucjan i Ignacy. W rodowodzie pojawiały się nazwiska Hołubeckich, Bielawskich, Rakowskich, Sewerynow, Słowińskich, Tomczyńskich. Dziadek Sylwester urodził się w 1853 roku w Zurnem w majątku hr. Małyńskiego. Dorastając, zaprzyjaźnił się z najmłodszym synem hrabiego Emanuelem Małyńskim, z którym na zawsze pozostał w wielkiej przyjaźni. W wieku 26 lat dziadek ożenił się z szesnastoletnią Marią z Hutnickich. Z tego związku przyszło na świat szesnaścioro dzieci, lecz tylko jedenaścioro osiągnęło dojrzałość: Julia, Teofil, Michalina, Antoni, Kazimierz, Roman – mój ojciec, Zofia, Maria, Zygmunt, Władysława i Tadeusz. Do tego pokolenia rodu Hermaszewskich dołączyli Płoccy, Żygadłowie, Słowińscy, Łosiowie, Sawiccy, Michalakowie, Bagińscy, Wróblewscy, Zarczyńscy, Urbanowiczowie oraz Bień, Dziwiszek i Kuriata.

Moi rodzice pobrali się w 1925 roku. Mama Kamila z Bielawskich (córka Damazego i Zofii) pochodziła z pobliskiej Młodzianówki. Była osobą bardzo tolerancyjną, ale umiała też postawić na swoim. Z tatą stanowili wzorcowy tandem dla rodziny i sąsiadów. Rodzice darzyli się głębokim szacunkiem i miłością. Podobnie jak przodkowie, doczeka-

li się liczego, bo siedmioosobowego, potomstwa. Pierwsza na świat przyszła Alina, kolejno potem Władysław, Sabina, Anna, Teresa, Bogdan i ja.

Niestety to pokolenie Hermaszewskich nie podtrzymało tradycji przodków. Alina dała Ryszarda, Krzysztofa i Wiolettę; Władysław córkę Grażynkę, Sabina – Alinkę i Bogdana, Anna – Jarosława, Teresa – Andrzeja, Bogdan – Bożenkę, a ja z Emilią (z domu Łazarz) syna Mirosława i córkę Emilkę. Na razie dochowaliśmy się trzech wnuczek: Julii, Amelii i Emilii oraz wnuczka Stasia.

Do Wołowa przybyliśmy chyba w czerwcu 1945 roku. Jak mówili starsi, pachniało tu prochem, żelazem i śmiercią. Przybyliśmy z Wołynia – tam zapach śmierci był wszechobecny. Na tej umęczonej ziemi naszych przodków pozostały prochy mojego ojca, dziadka, ciotek, wujków i setek tysięcy rodaków. Po ślubie rodzice zamieszkali w małej wiosce Police, w powiecie kostopolskim na północ od Równego, wśród borów zasobnych we wszelakie dobra. Gospodarowali na 25-hektarowym gospodarstwie. Ziemia była żyzna, a i umiejętności rolnicze ojca i mamy były wysokie. Gdy rodzina zaczęła się powiększać, rodzice zbudowali z pomocą mieszkających w okolicy braci ojca w pobliskich Lipnikach nie tylko nowy dom, ale i całe zabudowania gospodarskie. Ojciec był zaradnym gospodarzem i, podobnie jak mój dziadek Sylwester, interesował się nie tylko najbliższą okolicą. Pragnął poznać ten dalszy, nieznany świat. Wiedzę o nim czerpał z rzadko pojawiających się gazet i pism rolniczych, które prenumerował, oraz z opowieści dziadka, który będąc zarządcą majątku hrabiego Małyńskiego, zwiedził z nim niemalże świata – łącznie z Ameryką i Afryką, gdzie polowali.

Majątek hrabiego Małyńskiego to nie tylko ziemia i lasy, ale i wspinały pałac, własna elektrownia, oświetlona droga do stacji Mokwin, a także samolot przypominający etażerkę – drewniany dwupłat Farmana. Jego sporadyczne loty w okolicy budziły przerażenie dorosłych i radość dzieciarni. Wtedy to pierwszej lotniczej fascynacji doznał mój brat Władysław, i to w chwili, kiedy samolot „spadł”, a hrabia dotkliwie się potłukł.

Z dalekiej podróży dziadek przywiózł radio kryształkowe, którym posługiwał się jako pierwszy w okolicy. Najczęściej w tajemnicy przed babcią Marią, która nie akceptowała tego wynalazku, mówiąc, że „to diabeł tam gada”, dziadek wieczorami po pracy wdrapywał się na strych i tam w słuchawkach na uszach chłonał wieści ze świata. Zasły-

szanymi informacjami dzielił się z najbliższymi i sąsiadami. Uwielbiał opowiadać dzieciom o tym innym, tajemniczym i ciekawym świecie. Tego moja pamięć dziecka nie zarejestrowała.

Z opowieści rodzinnych wiem, że mój ojciec był niezrównany w stolarce, robił meble i najpotrzebniejsze sprzęty. Na długo przed narodzeniem pierwszego dziecka wykonał ładne łóżeczko i przemyślnie rzeźbioną kołyskę. Dziecięce mebelki stanowiły stały element wyposażenia naszego domu, bo co dwa, trzy lata zyskiwały nowego użytkownika. Po dwóch latach, jakie upłynęły od urodzenia najstarszej siostry Aliny, mama kołysała Władka, później Sabinę, a po trzech kolejnych Annę. Najstarsza Alina doczekała zaszczytu bawienia kolejnej siostry Teresy i Bogusia, a do kołysania i niańczenia mnie – najmłodszego – przyznają się już absolutnie wszyscy z rodzeństwa.

Tam na Kresach żyliśmy spokojnie, zgodnie i dostatnio. Z czasem rodzice rozwinęli gospodarstwo, zakupili więcej ziemi, a żniwa obsługiwano kosiarką, z posiadania której ojciec był bardzo dumny. Maszynę tę ojciec kupił za namową mamy, która jeszcze będąc panienką, zdobyła wiedzę rolniczą w szkole handlowej w Kole. Mama zwiedziła Warszawę, Gdynię, a gdy podrosłem, opowiadała mi o tamtych latach, o balu na Zamku Królewskim, o morzu i okrętach. Jednak najlepiej zapamiętałem opis okolic Lipnik, traktujący o pięknie lasów, radości wiosny, zapachach kwiatów i ziół w lecie, o śpiewie ptaków i o zwyczajach świątecznych i kuligach po okolicy. W pamięć zapadły mi powtarzane przez mamę powiedzonka dziadka i to, że mój tato przepadał za dziećmi. Kiedy kroczył przez wieś, zawsze towarzyszyła mu gromadka dzieciaków. Pamiętam melodie ukraińskich dumek, rzewnych, tęsknych i tak melodyjnie pięknych, że i dziś mnie wzruszają.

Idyllę przerwała tragedia, jaką przeżyliśmy w nocy z 25 na 26 marca 1943 roku w Lipnikach. Wtedy to zdziczała horda ukraińskich rezu-nów, wśród których byli znajomi i sąsiedzi Lipniczan, uzbrojeni w drągi, siekiery, widły, kosy, łańcuchy, broń palną i we wszystko, czym można było nie tylko zabić, ale i zadać jak najwięcej cierpień, okrążyła spokojnie śpiącą wieś. Podpalili zabudowania i rozpoczęli rzeź. Mor-dowano okrutnie bez względu na wiek i płeć, grabiono dobytek. W tę pamiętną i najkoszmarniejszą noc zginęło 182 mieszkańców moich Lipnik, a spośród nich aż 18 członków najbliższej rodziny: taty – Her-maszewskich i mamy – Bielawskich. Najmłodszy miał niespełna roczek, a najstarszy 90 lat. Zginął mój dziadek Sylwester, pchnięty kilka-

krotnie nożem, do końca ufny w nasze bezpieczeństwo, bo „cóż złego mogą nam zrobić bracia Ukraińcy” – mawiał, gdy szeptano, że zbliża się złe. Mieszkańcy Lipnik świadomi byli narastającego od miesięcy zagrożenia. Początkowo pojedyncze mordy na Polakach w okolicznych wsiach zdarzały się coraz częściej. Polacy nie przewidywali masowej nienawiści, bo przeczyła temu powszechnie panująca zgoda, wręcz braterstwo, a nierzadko wspólne polsko-ukraińskie więzy rodzinne. Powołane spontanicznie grupy samoobrony próbowały śledzić poczynania banderowców, lecz nie potrafiły przewidzieć czasu i miejsca planowanego napadu. Z relacji mamy i starszego rodzeństwa wiem, że tej krytycznej nocy panował silny mróz i świecił księżyc. Z powodu narastającego niepokoju ojciec zdecydował, że rodzina powinna spać w ubraniu. Każde z dzieci miało przygotowane tobołki z niezbędną zawartością. Mama miała własny, którego zawartość stanowiłem ja – półtoraroczny bobasek. Ten stan gotowości obowiązywał już od początku marca. Mama zmęczona kilkunastodniowym czuwaniem i urzeczona piękną księżycową nocą – „w taką jasną noc nic złego stać się nie może” – postanowiła, by wszyscy dobrze się wypali. Po wieczornej toalecie przebrała dzieciaki w lniane koszule i te najmłodsze utuliła do snu. Czuwali Władysław, Alina i tata w oddziale samoobrony. Tragedia zaczęła się tuż przed północą. Usłyszano narastający turkot wozów, śpiewy i wycia przybyszów. Nastąpiła chwila ciszy, po czym rozległy się serie z broni maszynowej. Pociski zapalające zrobiły swoje. Noc przerodziła się w dzień. Ryk bandytów narastał. Do domu wpadł ojciec z karabinem w rękę i krzyknął „uciekajcie”, po czym rozplynął się w mroku. Mama w pośpiechu ubrała te najmłodsze, wcisnęła im w ręce przygotowane tobołki i wyprowadziła dzieciaki z palącego się już domu. Siostra Teresa w szoku zamiast majteczek wciągnęła na nogi sweter. Ujrawszy te okropności – jęki mordowanych, kwiczenie palącego się żywca inwentarza, wrzaski rezunów i powszechny chaos – sparaliżowana strachem, nie zatraciła instynktu ratowania dzieci. Przywoływała je do siebie i wtedy na jej drodze stanęli czterej zwyrodnialcy – „żołnierze” UPA, i uśmiechając się szyderczo, wrzasnęli: „Stoj, ty polska mordo, ne wtykaj, my tebe i tak zareżem”. Widmo okrutnej śmierci, które przed chwilą widziała, dodało mamie sił. Zdołała oddalić się od prześladowców. Ci zaś, nie dając za wygraną, zaczęli strzelać do samotnej kobiety z dzieckiem na rękach. Jeden z nich dogonił moją matkę, przystawił karabin do głowy. Strzał był celny, kula musnęła

skroń i rozerwała ucho. Mama oszołomiona strzałem i zalana krwią upadła, straciła przytomność i znieruchomiała, a ja wypadłem z jej rąk. Prześladowcy zapewne pewni sukcesu wrócili do wsi, by kontynuować swe bandyckie dzieło. Krew i szok spowodowany postrzałem sprawiły, że mama nie była w stanie działać racjonalnie. Biegła przed siebie bardzo długo, a kiedy powróciła zdolność logicznego myślenia, zorientowała się, że stoi boso w lekkiej sukience wśród znajomych Ukrainek na opłotkach sąsiedniej wsi Białka, 6 kilometrów od Lipnik. Kobiety lamentowały nad jej losem, ktoś podał serdak, by ogrzać zziębniętą, i otarł twarz z krwi, inna ręka podała kawałek chleba i kubek gorącego mleka. Te oznaki człowieczeństwa uświadomiły mamie resztę grozy – „Gdzie moje dziecko?” – krzyknęła rozdzierającym głosem. „Tam zostało” – wskazała ręką krwawą lunę. Ruszyła, lecz przytomne Ukrainki siłą powstrzymały ją. „Tam pewna śmierć” – mówiły zgodnie.

W tym czasie ojciec wraz z innymi członkami grupy samoobrony wsi próbowali odpierać ataki zdziczałych rezunów. Udało się rozerwać pierścień okrażenia i przez powstałą wyrwę wyprowadzić nieliczne kobiety i dzieci oszalałe ze strachu i bólu po stracie najbliższych. Droga ewakuacji możliwa była jedynie w kierunku osady Zurne przebiegającym w pobliżu rowem melioracyjnym, dość głębokim, lecz bardzo wąskim. Na jego dnie można było poruszać się jedynie gęsiego, co wyraźnie spowalniało ucieczkę. Przerażeni uciekinierzy wpadali jeden na drugiego, powstał straszliwy zamęt i zator. Napastnicy dopadli Polaków, wrzeszcząc, przeklinając, i rozpoczęli kolejną rzeź. Robili to metodycznie, ciskali granaty i rozstrzeliwali skłębiony tłum. Ten, kto próbował wydostać się z rowu, wpadał z powrotem z rozwaloną siekierą głową. Padły dziesiątki uciekinierów. Zginęła pani Bagińska, upadając, zdążyła osłonić swym ciałem synka, który został raniony tą samą kulą. Tamże Ewelina Hajdamowicz, ratując swego ранnego synka, dostała postrzał w oboje oczu i luno pożarów były ostatnim zarejestrowanym przez nią obrazem. Po „udanej akcji” rezunów rów był pełen poległych męczeńską śmiercią.

Wraz z nastaniem świtu co odważniejsi mężczyźni pospieszili do Lipnik. Już z daleka widać było ogrom tragedii, dopalające się domostwa, błakające się, wyjące z bólu, okaleczone lub nadpalone bydło. Im bliżej, tym większy widać było chaos, zniszczenia i okropności trudne do opisu. Niewiele padło od kul, niektórzy leżeli bez głów, kończyn, poprzekłuwani widłami, zatłuczeni drągami... Dzieci znajdowano

w studniach lub nabite żywcem na sztachety płotów, rozdarte... Wśród poszukujących szedł mój ojciec i brat Władysław. Domu rodzinnego nie było, tylko gorące zgłiszcz. Nieopodał opłotków na zamrożonym polu ojciec niespodziewanie dostrzegł charakterystyczny koc w kratkę, a w nim nieruchomego syna – Mirka, a wokół na śniegu dużo krwi. Tata był pewny, że jestem martwy, byłem blady, ale kiedy potrząsnął mną, otworzyłem oczy i powiedziałem: „tata, si” – co oznaczało ogień, i „buch” – czyli to, czego było dużo, a tłumaczyć nie trzeba. Tata pojął błakającą się krowę. Nadoił do ceberka mleka i w jakiejś ciepłej, od żaru tłącej się izbie po prostu wykapał mnie w mleku. Natarł solidnie znalezionymi gałganami i tym sposobem przywrócił mnie do życia i na długie lata uchronił od przeziębień. Dopiero po południu odnalazła się ranna i zrozpaczona mama.

Polska wieś Lipniki i wiele podobnych polskich osad zostały starte z powierzchni ziemi, zniknęły z map, ale pozostała tam polska krew i kości poległych męczeńską śmiercią. W sercach Lipczan pozostał ból i rozpacz. Straciliśmy cały dobytek i dorobek życia rodziców, odczuwaliśmy strach, niepewność jutra i ból po stracie najbliższych. Staliśmy się tułaczami. Widmo głodu było silniejsze od rozsądku. Aby cokolwiek odzyskać z jesiennych zasiewów, ojciec z braćmi mamy wybrał się na nasze pola. Była to ostatnia podróż mojego taty na ojcowiznę. Wrócił konający z kulą w piersiach, którą wystrzelono z zasadzki, gdy wracali do domu. Wspaniały i wielce szanowany pan doktor Turkiewicz był bezradny, kula naruszyła osierdzie. Pamiętam ojca leżącego na łóżku za szklanymi drzwiami w szpitalu. Piers miał opasaną bandażami. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego nie bierze mnie na ręce. Dlaczego podczas kolejnej wizyty mama rozbila na schodach szpitala słoik z kompotem i dlaczego tak strasznie płakała? Podobno uspokajałem mamę: „Mama, cicho, tatuś śpi”. W mojej pamięci pozostał obraz pogrzebu, wszyscy bardzo płakali, a mama mdlała. Dopiero po latach zrozumiałem – zostaliśmy bez ojca, zostaliśmy pól sierotami. Proboszcz ksiądz Rosowski w zaświadczeniu wydanym w dniu pogrzebu napisał: „Roman Hermaszewski, s. Sylwestra i Marii z Hutnickich, urodzony 10.11.1900 roku, zmarł z rany postrzałowej płuc w Bereznem dnia 28 sierpnia 1943 roku. Pozostawił żonę Kamilę, dzieci: c. Alinę, s. Władysława, c. Sabinę, c. Annę, c. Teresę, s. Bogusława i s. Mirosława”.

I tak rozpoczął się kolejny tragiczny rozdział naszej rodzinnej epepei. Po śmierci ojca mama przeżyła szok, ale nie załamała się, otrząsnę-

ła się, miała przecież siedmioro dzieci. Nie mogła jednak liczyć na czyjąś pomoc, bo wszyscy byli w podobnej sytuacji. Pracowała ponad siły, była praczką, krawcową, kucharką, ale dla nas zawsze była mamą. Nie okazywała zmęczenia, każdemu z osobna okazywała matczyną miłość. Mnie szczególnie kochała, byłem najmłodszym dzieckiem i jakby cudem ocalonym. Pracowitość i zaradność mamy była niezwykła i godna najwyższego szacunku. Kiedy głód zaglądał w oczy, bez wahania zdjęła ślubną obrączkę i oddała za dwa, dosłownie dwa bochenki chleba. Potrafiła przekonać konwojenta – folksdojczę, że nie będą z nas mieli pożytku w Rzeszy, i o dziwo z wagonu odwieźli nas do „domu”. Tym domem były pomieszczenia po miejskiej rzeźni, bez szyb w oknach, o betonowej posadzce, ale za to z troskliwie przykrytą, zdobytą przez mamę słomą. W tej beznadziejnej sytuacji zbawienną dłoń podał nam zawsze wobec wszystkich uczynny ksiądz proboszcz Rossowski. Przygarnął mamę z niemalym stadkiem dzieciaków na plebanię w Berez-nem. Zamieszkaliśmy w pokoiku na piętrze, z widokiem na rozległy park. Tam na wysokich drzewach przez cały dzień przeraźliwie krakały wrony. Obok plebanii stał okazały kościół z dwiema wieżami, a przy murowanym ogrodzeniu dzwonnica. Brat proboszcza pan Jan upodobał sobie mnie szczególnie. Przesiadywałem na jego kolanach, czepiałem się jego spodni nawet wtedy, gdy dzwonił na mszę. Zabierał mnie na przechadzkę nad pobliską rzekę Słucz, a z jej wysokiego brzegu pokazywał mi ćwiczących strzelanie rosyjskich żołnierzy, śpiewał, podnosił wysoko, naśladował lot ptaków i mówił: „Jesteś orłem”. Będąc już oficerem, w latach 60., odwiedzałem konspiracyjnie księdza Rossowskiego i pana Jana w Jego parafii w Zgierzu; był dumny ze mnie – byłem ptakiem. Obydwaj spoczywają na cmentarzu w Modlnej. Po nominacji generalskiej odwiedziłem to miejsce. Mieszkańcy byli zdziwieni widokiem jakiegoś generała w stalowym mundurze, który składa kwiaty na grobie księdza i trwa w zadumie.

Troska o dzieci wyzwalała w naszej mamie, drobnej kobiecie, nie-spożyte siły. Potrafiła przygotować swoją – jak mawiała – „dziatwę” do podróży w nieznane na Zachód. Jechaliśmy – to już pamiętam – wagonem towarowym wspólnie z jakąś rodziną. Podróż pociągami była dla dzieci nie lada atrakcją. Było beztrosko. Tym bardziej nie rozumiałem, dlaczego dorośli tak bardzo szlochali. Przez szpary w deskach staraliśmy się oglądać nowy, inny, nieznany świat. Widziałem po raz pierwszy duże domy – „gmachy”, a pojawienie się samochodu wywoływało

nieopisaną sensację. Podróży towarzyszył nieustanny łoskot, stukot kół, sapania, pogwizdywania parowozów, ciągle kołysanie, szarpanie i przetaczanie wagonów. Na jednym z licznych postojów mama postanowiła zagotować ciepłą strawę, poszła zaczerpnąć wody, pochyliła się i wpadła do murowanej studni o pionowych ścianach. Pływać nie potrafiła, desperacko czepiała się trawy, która porastała brzegi zbiornika, ta urywała się i mama zachłysnęła się, tonęła, gotowa była poddać się losowi. By pozostawić po sobie ślad, wyrzuciła na brzeg trzymany dotąd kurczowo garnek, będący wówczas skarbem. W świadomości jej pojawiły się dzieci, to dodało jej sił. Kolejna próba wyjścia z pułapki powiodła się. Wyczerpana, mokra, zziębnięta wróciła do wagonu i jak gdyby nigdy nic ugotowała posiłek. Dopiero po latach powiedziała prawdę. Podróż przeciągała się, w końcu czerwca transport dotarł w pobliże Wrocławia. Byliśmy szczęśliwcami, bo nie podzieliliśmy tragicznego losu tysięcy Wołyniaków. Przeżyliśmy nasz polski Holocaust. Znaleźliśmy się na nieznannej, obcej ziemi. Osiedliliśmy się w Wołowie. Pierwsze dwa tygodnie wraz z wieloma rodzinami koczowaliśmy „na rampie”, czyli w hali parowozowni. Mama z utęsknieniem wypatrywała naszej krówki. Po tygodniu oczekiwania z setką innych pojawiła się nasza żywicielka, którą mama rozpoznała po tęsknym ryku w stadzie liczącym kilkadziesiąt sztuk. Rozpoznały się obydwie, bo krówka zmieniła smętne porykiwania na radosne i odwzajemniła radość mamy serdecznym lizaniem szorstkim językiem.

Zamieszkaliśmy na parterze domu przy ulicy Kościuszki, na peryferiach miasta. Brakowało brata Władka, który w czasie transportu zachorował na tyfus. Nieprzytomnego zabrano do szpitala gdzieś w Katowicach. Po powrocie do zdrowia przez parę tygodni, poszukując swoich, błąkał się po Ziemiach Odzyskanych, szukał rodziny we Wrocławiu, Szczecinie, Kwidzynie. Wiedziony intuicją powrócił na Dolny Śląsk. Pewnego dnia, gdy z siostrą Sabiną wyglądałem przez okno na ulicę obsadzoną kasztanami, chodnikiem kroczył chłopak boso, w podartych przykrótkich spodniach, na głowie miał wypłowiałą czapkę. Władek! – krzyknęła siostra. On spojrzał w naszym kierunku i jednym susem był przy nas. Wtedy widziałem, jak mama płakała – to były łzy szczęścia.

Wkrótce mama zajęła mieszkanie bliżej centrum w budynku przy ulicy Bieruta. Budynek był mniej niż skromny, wyglądem odbiegał od sąsiadujących willi. Chyba trafnie odzwierciedlał naszą sytuację mate-

rialną. Mieliśmy dwa łóżka, szafę, stolik i duży stół z kilkoma krzesłami. Dom nie był podpiwniczony, ale miał nieocenioną zaletę – obok w podwórku był chlewik i malutki ogródek, a na środku podwórka rosła dorodna czereśnia. Z bratem Bogdanem i kolegami z podwórka przesiadywaliśmy na niej od wczesnej wiosny do późnej jesieni. W chlewiku pochrząkiwała świnka i pobekiwał cielaczek, stadkiem kur opiekował się dorodny kogut, który ku utrapieniu mojej siostry Teresy odprowadzał ją do pobliskiej szkoły. W ogródku rosły warzywa i morele, za płotem był duży park, a obok ponury cmentarz – to był świat mojego dzieciństwa. Poznawałem okolicę i przyrodę. Bardzo skarżyłem się mamie na wróble z sąsiedniego dachu, bo, jak mówiłem, przezywały mnie, ćwierkając: „Mirek-ćwirek”. Gniewałem się na nie i za pomocą zrobionej przez siebie procy usiłowałem wymierzyć im sprawiedliwość.

Mama całkowicie poświęcała się swym dzieciom. Uważaliśmy, że potrafi wszystko. Ze starego płaszcza szyła nam eleganckie i wygodne ubranka. Gdy okazało się, że wyhodowana świnka była chora i nie nadawała się do spożycia, Mama dostała gdzieś sodę kaustyczną i zrobiła mydło, którego wtedy bardzo brakowało. W każdą sobotę ja i Bogdan byliśmy dokładnie myci („szorowani”), a woda po myciu była brudna, „jak z psa”. Odzianych w długie koszule, po obowiązkowym pacierzu, mama układała nas do łóżek z mocno nakrochmaloną pościelą. Przed zaśnięciem opowiadała bajki albo śpiewała piosenki. A kiedy dopadł nas świerzb, z powodu którego bardzo cierpieliśmy, kierując się czyjąś sugestią nie zawahała się, rozbrajała pociski mózdzierzowe, dobywała z ich wnętrza żółty trotyl, który gotowała z dziegiem. Po gruntownej kąpieli smarowała nas tą przeraźliwie śmierdzącą, ale jedyną dostępną wówczas miksturą.

By polepszyć byt rodziny, w sąsiednim budynku przy głównej ulicy mama otworzyła sklepik. Pomieszczenie było malutkie, a w nim same skarby: cukiereczki, ciasteczka, lizaki i oczywiście sól, mąka, kasza, oliwa itp. Lubilem tam przebywać. Czasami dostawałem coś słodkiego, do dziś lubię ciasteczka przekładane białą aromatyczną masą. Pewnego razu mama pozostawiła mnie w sklepie na chwilę. Wtem pojawił się mały człowieczek. „Jesteś sam?” – zagadnął. „Tak” – odparłem. „Dam ci złotówkę na cukierka, ale powiedz, gdzie mama chowa papierosy” – zaproponował. Poczulem się gospodarzem i zdecydowanym ruchem ręki wskazałem: „O tu – pod piecem”. Przybysz uśmiechnął

się, wyjął spod pieca drwa i wydobył z głębi dwa długie żółte pudeł-
ka z wizerunkiem dziwnego konia (to był wielbłąd – papierosy Camel). Położył je na ladzie. „No to poczekamy na mamę” – powiedział. Rozchylił poły marynarki, a za paskiem miał „rewolwer”. I tak to za
obiecana złotówkę zadenuncjowałem moją mamę. Złotówki ów pan
mi nie dał. Zabrał mamę na UB – tak mówili dorośli – po przeciwnej
stronie „naszego” parku. Przez dwa tygodnie pod nieobecność mamy
błąkaliśmy się po okolicy jak głodne wilczęta. Siostra Hania zabrała
mnie do parku. „Teraz się najemy” – podała mi kiść owoców czarne-
go bzu. Jadłem zachłannie, bo byłem głodny. Jagody były słodkawe,
ale i mdłe. W pewnym momencie całą zawartość żołądka zwróciłem
w straszliwych torsjach. Nawet dziś, gdy przechodzę obok bzu z doj-
rzałymi jagodami, czuję ucisk w dołku i spieszenie oddalam się. Ta re-
akcja to zapewne kara za zdradę własnej matki, kara, która nie ulega
przedawnieniu.

W 1983 roku wraz z żoną i córką odwiedziłem ojcowiznę. Spotka-
łem się z wielką serdecznością tamtejszych mieszkańców. W latach 60.
na miejscu tragedii Lipczan, obok dawnego domu ludowego, gdzie
pochowano pomordowanych, na wspólnej mogile usypano okazały
kopiec. Tablica informowała: „Tu spoczywają szczątki 182 niewinnych
ludzi” – wiem o tym z relacji brata Władysława. Gdy przybyłem, kopca
już nie było. Miejscowi twierdzili, że przeszkadzał w pracach żniw-
nych. Szczątki umęczonych z szacunkiem przeniesiono na cmentarz
w pobliskiej Białce. Wystawiony nagrobek niczym nie różnił się od
innych pojedynczych mogił. Mała tablica była spękana i nieczytelna.
Nie żałuję, że nie zapamiętałem okropnych scen tamtej strasznej nocy.
Moje dwie siostry Anna i Teresa oraz brat Bogdan jeszcze wiele lat po
tych wydarzeniach zrywali się nocą z krzykiem przerażenia.

*

M.H.

Nad wołyńską ziemią
gdzie cierpienie rozpięte między
pragnieniem życia
a bestialskim wynaturzeniem
leciał anioł
ujrzał wśród ognia krwi i płaczu
malutkie dziecko
skrzydłami je osłaniał
pilnował do rana
aż zrozpaczona je znalazła matka
szepnął anioł chłopcu
nie lękaj się
przeżyjesz pożogę
przyjdzie taki czas
że ja ciebie
w gwiazdną poprowadzę drogę
będziesz silny zdrowy
ty zanieśiesz w przestworza
polską mowę
i wygnańców z rubieży
tęsknoty kresowe

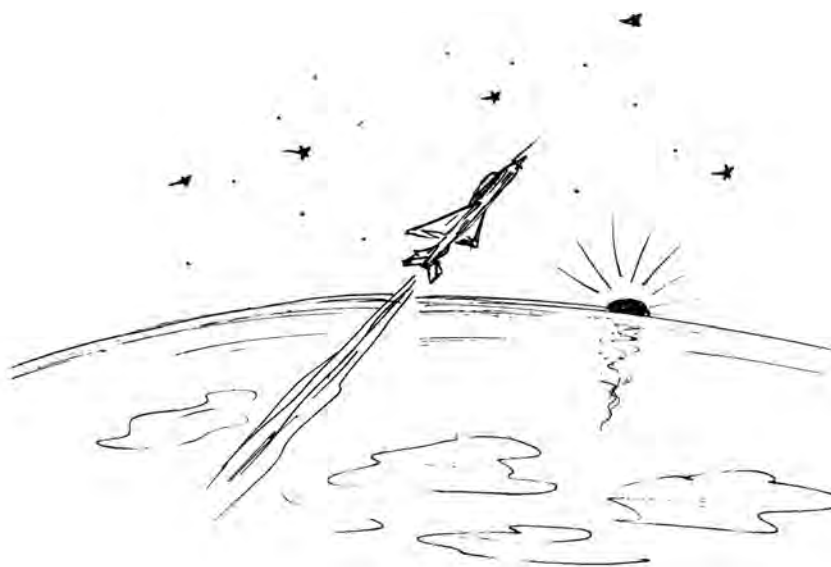
Barbara Czerepok – Wołów

CZĘŚĆ DRUGA

celuję stromo w czern nieba

Z życia uczyn marzenie i przemień je w rzeczywistość.

Antoine de Saint-Exupéry



OD SZYBOWCA DO ODRZUTOWCA

Jesienią 1948 roku mój starszy brat Władysław rozpoczął edukację lotniczą – został podchorążym Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie. Kiedy po roku nieobecności pojawił się w domu, nie śmiałem podejść do niego, był inny – postawny, wysoki, mężny, w stalowym mundurze lotnika. Wesóły i uśmiechnięty, opowiadał o samolotach i lataniu. Pachniał innym, tajemniczym światem. To już nie był Władzio, który z Wołowa z siostrą Aliną jeździł do pracy w cukrowni w Malczycach rowerem bez jednego pedału i jednej opony; i to nie ten sam Władzio, który ucząc się w liceum, pracował – nalewał benzynę z dystrybutora. Teraz to był Wladek – lotnik. Ja także chciałem być taki jak On.

Mama pracowała ciężko, trudno jej było utrzymać gromadkę dzieciaków. By ulżyć mamie, stryj Kazimierz zabrał mnie „na odkarmienie” do Krajunki koło Złotowa. Trafiłem do dostatniego domu, gdzie otoczyła mnie życzliwość stryja oraz wymagającej stryjenki Kornelii, która była sroga, ale kochała mnie jak swojego. Świadectwo ukończenia pierwszej klasy uzyskałem w Krajence. Wakacje spędziłem w Wołowie.

Lata szkolne były beztrudne. Szkoła dożywiała mlekiem z „Unry”, tranem i bułką. Wiedzę o lotnictwie czerpałem z prenumerowanych czasopism, a „Skrzydlatą Polskę” czytałem regularnie od 1951 roku. Pozyskana wiedza rozpaliała moją wyobraźnię. Pomny opowiadań brata i wpatrzony w fotografie pilotów wojennych, ustawiałem na łóżku krzesła w tak przemyślny sposób, by moja pozycja imitowała stromy lot wznoszący. Leżąc na krześle, widziałem siebie w kabinie myśliwca mknącego w błękit. Wówczas była to moja najwspanialsza zabawa, której oddawałem się godzinami. Zakradałem się też z kolegami na złomowisko. Wsiadałem do kabiny zawleczonego tam samolotu. Poruszałem sterami – mrucząc sobie pod nosem, leciałem. Samolot